

Krzyczkowski, Henryk

Witold Pakulski

Przegląd Pruszkowski nr 2, 60-94

2008

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Witold Pakulski

Na początku lat dwudziestych minionego wieku Pruszków, w którym urodziłem się i wychowywałem, był dwudziestotysięcznym sennym i smutnym miasteczkiem.

Pierwsza wojna światowa pozostawiła trwałe ślady. Z istniejących tu niegdyś fabryk pozostały ruiny zburzonych budynków lub puste hale, pozbawione maszyn. Stało także kilka wypalonych domów, których nie rozbierano, gdyż zdaniem fachowców, nadawały się do odbudowania. Dwie wojny, toczone przez sześć lat na ziemiach polskich, obniżyły znacznie poziom życia mieszkańców. Wiele rodzin znalazło się bez środków do życia. W najgorszym położeniu znalazły się rodziny, które powróciły z Rosji, a były zmuszone do opuszczenia Pruszkowa przez władze rosyjskie. Często do Pruszkowa powracały tylko matki z małymi dziećmi, gdyż ojcowie ginęli w czasie zawieruchy wojennej. Ci, którym udało się wrócić, podejmowali pracę. Kolejarze zaczęli pracować, już w Polskich Kolejach Państwowych lub Warsztatach Kolejowych. Pomału uruchamiano inne fabryki.

Pod koniec 1922 roku miasto obiegła wiadomość, że na terenie całkowicie zniszczonej fabryki wyrobów metalowych Troetзера mają nasi rodacy z Ameryki zbudować fabrykę obrabiarek. Uwierzono w te pogłoski dopiero wtedy, kiedy w gazetach war-



szawskich przeczytano informację o tym, że kilkuset Polaków mieszkających w Ameryce chce powrócić do Kraju, aby pracować w zbudowanej przez siebie fabryce, w której byłyby produkowane najnowocześniejsze obrabiarki do metali. Wszystkie urządzenia i maszyny potrzebne do produkcji mają być przywiezione do Pruszkowa z Ameryki. Jak się okazało, zostało już zawiązane Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki.

Wkrótce zatrudniono pierwszych pracowników. Prace zaczęto od porządkowania terenu i pomieszczeń, a następnie szybko odbudowywano budynek biurowy. Gdy ukończono remont kotłowni nad kominem fabrycznym pojawiły się smugi dymu.

Zmianami zachodzącymi w dawnej fabryce Troetzera interesowali się nie tylko dorośli mieszkańcy Pruszkowa, ale także dzieciarnia z sąsiednich domów.

Na ulicy biegnącej wzdłuż murów fabrycznych (obecnie ul. Kazimierza Puławskiego) prawie każdego dnia zjawiała się gromada wyrostków, by godzinami gapić się na pracę robotników uwijających się po wielkiej hali fabrycznej. Zachwycaly nas wielkie maszyny, przywiezione zza oceanu do naszego miasta. Przywożone były one z rampy kolejowej w wielkich skrzyniach dwukonnymi platformami. W tym samym czasie zaczęli przyjeżdżać do Pruszkowa pierwsi nasi rodacy powracający po wielu latach do kraju. To za ich dolary zarobione za Oceanem odbudowano dawną fabrykę Troetzera i zakupiono w USA maszyny. To właśnie oni, ci przybysze z Ameryki, mają produkować, tak potrzebne w Polsce, obrabiarki.

Nowi mieszkańcy Pruszkowa powoli włączali się w życie naszego miasta. Na końcu ulicy Puławskiego kupili duży dom, w którym zamieszkało kilkanaście rodzin. Oprócz tego, przy tej samej ulicy, na wprost ruin dawnej fabryki terrakoty, zbudowali kilka domów. W jednym z nich powstała szkoła rzemieślnicza, na piętrze, w świetlicy w soboty i w niedzielę wyświetlano, przywiezione z Ameryki, filmy. Na te pokazy schodziła się młodzież z całej okolicy. To tu i ja poznałem urok kina. Tu zobaczyłem „drapacze

chmur”, zatłoczone ulice Nowego Jorku, Indian i kowbojów. Nasi nowi mieszkańcy zorganizowali też wypożyczalnię książek, a prowadził ją pan Lis. Tu poznałem książki Londona i Karola Maja.

W tym prymitywnym kinie i w tej bibliotece poznałem Witka Pakulskiego. Urodzony w roku 1912, starszy ode mnie o dwa lata, ze względu na słabą znajomość języka polskiego naukę w szkole powszechnej rozpoczynał razem ze mną – ja w „kolejówce”, przy żbikowskim przejeździe, a on w szkole ewangelickiej. Patronem tej szkoły był Stanisław Żółkiewski. Witek był ewangelikiem. Od początku z grona zaprzyjaźnionych kolegów wyróżniał się nosem złamanym u nasady, angielskim akcentem, amerykańskimi ubraniami, a także uczesaniem z przedziałkiem na środku głowy, podobnie jak bożyszcze filmowe tamtych czasów Rudolf Valentino. Strojem jego była marynarka z czterema kieszonkami z paskiem z tyłu, spodnie „pumpy” zapinane pod kolanami, jasne podkolanówki i czarne pantofle w szpic, na głowie nosił cyklistówkę. Mimo że dzieciństwo spędził w Ameryce mówił poprawnie po polsku. To on tłumaczył nam dialogi angielskich niemych filmów. Opowiadał nam o drapaczach chmur w Nowym Jorku, o podziemnej kolejce, o ulicznych hydrantach, z których pił wodę, o wielkiej ilości samochodów krążących po ulicach miast, o światłach ulicznych oraz o gładkich, równych szosach, o szerokich ulicach pełnych śpieszących się ludzi i o wspaniałych witrynach sklepowych. Słuchaliśmy tych opowiadań z pewnym niedowierzaniem. Podziemna kolejka, pokryte asfaltem ulice? Jak to możliwe? U nas tylko nieliczne ulice były wybrukowane tzw. „kocimi łbami”.

Mieszkał wraz z rodzicami w domu przy ulicy Ołówkowej – drugi dom od ulicy Mokrej.

Witek od początku bardzo nam imponował. Gdy nawiązałem z nim przyjaźń próbowałem naśladować jego uczesanie – niestety nigdy mi się to nie udało. Po wielu latach tajemnicę przedziałka wyjaśnił mi fryzjer.

Witek przywiózł z Ameryki wrotki i piłkę do rugby. Niestety

na wrotkach nie mogliśmy jeździć z powodu złej nawierzchni naszych ulic a gra w rugby nie przypadła nam do gustu – trudno było przewidzieć gdzie polecą jajowata piłka kopnięta przez nas. W tamtych czasach dorastająca dzieciarnia z naszej ulicy najchętniej grała w „szmaciankę” – niewielką piłkę zrobioną przez nasze matki lub siostry z gałganów i szmat. Witek szybko stał się jednym z nas – byliśmy liczną grupą z ulicy Stalowej i Ołówkowej, która swój wolny czas spędzała na podwórkach. Wśród nas było dwóch „Amerykanów” – Witek i Ali Morawski oraz Janek Drzewiecki, Tadek Targowski, Mietek Żmudzki zwany Murzynem, Andrzej Will, Władek Raczyński, Staszek Kowalczyk i ja. Jurek Goldsztajn zwany Hrabią dołączył do nas znacznie później. Jedną z naszych rozrywek była „gonitwa za kółkiem”. Trasa nasza biegła w stronę pałacu hrabiego Potockiego w Helenowie, dalej drogą do Parzniewa obok mogiły powstańców z 1863 roku a następnie do przejazdu PKP i dalej nad torem kolejowym aż do przejazdu przy młynie Lorenca. W lecie spędzaliśmy czas na „Helenowskich Gliniankach” gdzie po kąpielach graliśmy w karty lub czytaliśmy książki. Chodziliśmy również na grzyby do lasu helenowskiego – wychodziliśmy zawsze w nocy i na skraju lasu siadaliśmy, by posilić się przygotowanymi przez nasze matki kanapkami oraz kradzionymi po drodze jabłkami. Pamiętam zachwyty Witka gdy ukazywała się powoli nad dachami uspiętej Nowej Wsi czerwona tarcza wschodzącego słońca.

Czekaliśmy chwili, w której nad jakimś kominem wiejskiej chałupy ukaże się delikatna smuga dymu – dla nas był to znak, że powinniśmy już wyruszyć do lasu. Wracaliśmy do domów około godziny piętnastej, ponieważ zbliżała się pora obiadu. Po obiedzie spędzaliśmy najczęściej czas w parku Sokoła gdzie graliśmy w siatkówkę lub koszykówkę.

Na początku lat dwudziestych, gdy zaczynaliśmy naukę w szkołach podstawowych, nie mieliśmy zeszytów, a wielu z nas przychodziło boso. Każdy uczeń miał do swego tornistra przyczepioną tabliczkę. Była to cienka płytką ceramiczną czarnego koloru opra-

wiona w drewnianą ramkę. Na tych tabliczkach pisało się białym sztyfcikiem, a niepotrzebny już zapis ścierało się ściereczką. Bardzo często jakiś złośliwy kolega pragnął zetrzeć odrobioną lekcję z języka polskiego lub z rachunków, musieliśmy więc pilnować nasze tabliczki. Dzieci, które przyjechały z Ameryki, były zdziwione oglądając nasze przybory szkolne. One, w przeciwieństwie do nas, miały zeszyty i książki, pisały piórami ze stalówkami, a w swoich teczkach nosiły kałamarz z atramentem. Witek miał wieczne pióro – pamiętam nasz zachwyty, gdy je oglądaliśmy.

W starszych klasach zeszyty zastąpiły tabliczki. Przybory do pisania i zeszyty kupowaliśmy w bazarku na wprost stacji kolejowej.

Pobyt „amerykanów” w naszym mieście zmienił nasze życie. Coraz więcej kobiet skracało swoje suknie, a na ulicach zjawiały się wózeki, w których wożono niemowlęta- zanikał zwyczaj zawijania siebie wraz z niemowlęciem w dużą, kraciastą chustę. Zamiast długich, prawie do kolan, butów zawiązywanych na sznurowadła, kobiety zaczęły chodzić w pantoflach, małe kapelusiki zastępowały ogromne kapelusze, a na szyldach zakładów fryzjerskich coraz częściej pojawiały się napisy: „Salon damski. Wieczna ondulacja”

W naszej dzielnicy, z ulic Stalowej i Ołówkowej, około setki dziewcząt i chłopców uczyło się w szkołach powszechnych. Pod koniec lat dwudziestych ta młodzieżowa społeczność podzieliła się. Większość rodziców zdecydowała się na dalsze kształcenie swoich dzieci w szkołach średnich. Tylko nieliczne rodziny, najczęściej ze względu na sytuację finansową, zrezygnowały z dalszej edukacji swych pociech.

Z moich najbliższych kolegów trzech zaczęło naukę w Pruszkowie: Staszek Kowalczyk w Gimnazjum im. Tomasza Zana, Mietek Zmudzki i Janek Drzewiecki w Szkole Mechaników. Pozostała szóstka zapisała się do szkół w Warszawie: Tadek Targowski i Władek Raczyński – do Szkoły Przemysłu Graficznego przy ul. Konwiktorskiej, Witek Pakulski do Gimnazjum im. Mikołaja Reja przy Placu Małachowskiego, Ali Morawski do Gimnazjum im. Sowiń-

skiego na Woli przy ul. Młynarskiej, Andrzej Will do Gimnazjum Lorenca przy ul. Brackiej, a ja do Gimnazjum Zgromadzenia Kupców przy ul. Prostej. Jurek Goldsztain uczęszczał do Szkoły Handlowej „City” przy ul. Królewskiej.

Młodzież ze szkół warszawskich spotykała się każdego dnia na dworcu kolejowym, skąd o godz. 7.05 odjeżdżał miejscowy pociąg. Pociąg, składający się z dziesięciu starych wagonów, pamiętających lata przedwojenne, ciągnął parowóz – „tendrzak” dymiący i sapiący. W środku pociągu dwa wagony były przeznaczone dla młodzieży. Nasz pociąg przyjeżdżał na dworzec Warszawa Główna punktualnie o godz. 7.30 – mogliśmy więc spokojnie zdążyć do naszych szkół na godz. 8.00

Mieliśmy mundurki szkolne – byliśmy dumni nosząc te stroje wyróżniające nas spośród innych. Każda szkoła miała inne czapki. Witek np. nosił cyklistówkę koloru granatowego z niebieskimi wypustkami i inicjałami patrona szkoły.

Witek Pakulski od kilku lat mieszkał wraz z rodzicami przy ulicy Parkowej, po nieparzystej stronie, w drugim domu od ulicy Kościuszki.

Witek włączył się w życie szkolne. Przez kilka lat grywał w szkolnej orkiestrze na dużym bębnie. Wydaje mi się, że bardzo go to bawiło, gdyż zapraszał nas na publiczne występy swojej orkiestry. Witek miał zawieszony duży bęben na brzuchu, w prawym ręku trzymał „tłuczek”, którym wybijał rytm marszu. W narodowe święta, w dniu 3-go Maja i 11 listopada, gimnazjum Reja brało udział w uroczystym pochodzie ulicami Warszawy. Na czele długiej kolumny uczniów gimnazjum Reja maszerowała orkiestra, a w niej, w ostatniej czwórce siedł Witek wybijając rytm zgodnie z którym maszerowało całe gimnazjum.

Już po kilku tygodniach nauki w warszawskich szkołach musieliśmy więcej czasu poświęcać odrabianiu lekcji oraz czytaniu książek stanowiących obowiązkową lekturę. W związku z tym opuściliśmy bibliotekę pana Lisa i zaczęliśmy wypożyczać książki

w Bibliotece Miejskiej, która posiadała większy wybór lektur. Wtedy narodziła się tradycja niedzielnych wyjazdów do warszawskich kin. Najczęściej bywaliśmy w Kinematografie Miejskim przy ulicy Hipotecznej. Grano tam najczęściej filmy z „dzikiego zachodu” lub filmy kryminalne. Do domu wracaliśmy przed godziną 21.00.

Zaczynaliśmy interesować się polityką. W dniu 4 marca 1928 roku odbywały się wybory do Sejmu. Lokal wyborczy dla naszej dzielnicy znajdował się w domu przy ulicy Stalowej pod numerem 3 w lokalu dawnego kina „Ergos”. Tuż przed wejściem do lokalu wyborczego ja – wbrew zakazowi – rozdawałem kartki wyborcze z numerem 2. Była to lista Polskiej Partii Socjalistycznej. Do tej czynności zwerbował mnie sąsiad, pan Konstanty Wiktorzak, czołowy działacz PPS, ojciec mojej ówczesnej wielkiej sympatii, Janki. W pewnej odległości od lokalu wyborczego na ulicy Sienkiewicza pan Ludwik Pakulski rozdawał kartki z „jedyneką”. Była to lista Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem marszałka J. Piłsudskiego. W sobotę po wyborach dowiedziałem się od Witka, że jego ojciec zaprasza mnie na wieczorną, ważną rozmowę. Pan Ludwik tłumaczył mi jaka jest różnica pomiędzy socjalizmem o jaki walczą członkowie partii noszącej w wyborach numer dwa a socjalizmem głoszonym przez Józefa Piłsudskiego, który uważał, że niepodległość jest najważniejsza i że tylko w wolnym kraju będzie można realizować hasła głoszone przez socjalistów. Wysłuchałem wtedy opowieści pana Ludwika o jego życiu. Urodził się w miasteczku Łask niedaleko Łodzi. Nie było tam żadnej szkoły. Czytać i pisać uczył się od starszych kolegów. Bardzo wcześnie rozpoczął pracę w jednej z miejscowych fabryk włókienniczych. Tu zetknął się z członkami PPS. Jeden z nich przynosił wydawane konspiracyjnie egzemplarze „Robotnika”. Pan Ludwik zaczął brać udział w tajnych zebraniach grupy członków PPS. Na jednym z takich zebrań przemawiał towarzysz „Ziuk” wydawca „Robotnika” – późniejszy marszałek Polski Józef Piłsudski. Pan Ludwik w wieku 17 lat został kolporterem „Robotnika”. W umówionym

miejscu odbierał paczkę egzemplarzy, które roznosił do zaufanych ludzi. Po zlikwidowaniu przez carską żandarmerię tajnej drukarni, w której drukowano nie tylko „Robotnika”, ale również ulotki o hasłach patriotycznych, nastąpiło aresztowanie J. Piłsudskiego.

Zakonspirowany Sąd Partyjny wydał wyrok śmierci na Polaka, który przeszedł na służbę do Rosjan i współpracując z carską żandarmerią wskazał lokal, w którym znajdowała się drukarnia; odkrył on również zakonspirowane miejsce pobytu J. Piłsudskiego. Wyrok wykonywał pan Ludwik. Kilka dni później inny zdrajca konfident wydał go rosyjskiej policji. Było to podczas stanu wojennego. Rozprawy sądowe odbywały się w trybie przyspieszonym. Pan Ludwik został skazany na karę śmierci, zamienioną, ze względu na jego młody wiek, na dożywocie w syberyjskiej kopalni. Wraz z innymi skazanymi został wywieziony na Syberię w kierunku Irkucka. Następnego dnia po przybyciu do kopalni udało mu się uciec wskakując do budki hamulcowej wagonu załadowanego węglem. Szczęście nie opuszczało go podczas ucieczki. Po dotarciu do Irkucka przesiadł się do pociągu osobowego jadącego do Moskwy. W przedziale zajął miejsce przy drzwiach, zdjął jesionkę, usiadł na swoim miejscu i obserwował wsiadających pasażerów. Ubrany był nie gorzej od współpasażerów, a jego typ urody nasuwał myśl o azjatyckich przodkach. Jak wspominał po wielu latach miał zadziwiająca pewność siebie. Kłamał jak najęty. Gdy zobaczył nadchodzącego konduktora od razu przyznał się, że nie ma biletu. Opowiedział wymyśloną bajeczkę o śmierci matki i o ojcu podoficerze, którego pułk stacjonuje pod Petersburgiem. Kłamał tak bezczelnie, że konduktor uwierzył w jego opowieść. Zabrał go do swego przedziału, nakarmił, a gdy po kilku godzinach nastąpiła zmiana obsługi pociągu przekazał go swego następcy. Tak dojechał do Moskwy, gdzie udało mu się nawiązać kontakt z Polakami, którzy ułatwili młodemu koledze dotarcie do Petersburga. Tu spotkał się z towarzyszami partyjnymi. Członkowie PPS, po sprawdzeniu jego tożsamości, ułatwili mu wędrówkę przez Karelię, Finlandię

do Szwecji a następnie do Danii. Zamieszkał w Kopenhadze do-
kąd udało się – znów przy pomocy rodaków związanych z PPS
– sprowadzić swoją przyszłą żonę Julię. Tu w 1912 roku przyszedł
na świat jedyny syn Witold. Pod koniec roku kupili bilety na statek
płynący do Nowego Jorku. W Stanach zamieszkali w Passaic na
przedmieściu Nowego Jorku. Pan Ludwik rozpoczął pracę w włó-
kienniczej fabryce. Pani Julia, po odchowaniu Witka, podjęła pra-
cę w tej samej fabryce – była tkaczką.

Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny zarobki
wzrosły. Dzięki temu zdołali zaoszczędzić kilka tysięcy dolarów.
Przez cały czas pobytu za oceanem nie opuszczała ich myśl o po-
wrocie do kraju.

Moja długa rozmowa z panem Ludwikiem, a właściwie jego
wspomnienia, wpłynęły na zmianę mego światopoglądu. Zaczą-
łem doceniać niepodległość.

Ani wyniki wyborów, ani polityka pozornie nie wywierały
wielkiego wpływu na nasze życie. W dni powszednie po powrocie



Na ławce w „Sokole”

ze szkoły odrabialiśmy lekcje, czytaliśmy książki. Zdarzało się, że lektura tak nas zaciekawiła, że zapominaliśmy o kolegach, z którymi najczęściej spotykaliśmy się w parku „Sokoła” lub na ulicy Kościuszki. W niedziele nasze życie wyglądało zupełnie inaczej. Wstawaliśmy znacznie później. O godzinie 10 w pruszkowskim kościele była Msza święta dla szkół. Witek prawie zawsze na nas czekał przed kościołem. Stał na chodniku po drugiej stronie rozciągającego się przed kościołem placu obserwując wychodzący z kościoła tłum ludzi. Z daleka kłaniał się znajomym. Gdy wszyscy wierni opuścili świątynię, a kościelny zamknął wielkie drzwi wejściowe, wyruszaliśmy całą przekrzykującą się gromadą do Komorowa. Rozmawialiśmy o szkolnych przeżyciach, o nauczycielach i nowych kolegach. Ktoś opowiadał o nowym filmie wyświetlanym w warszawskim kinie a ktoś innych zachwycał się sztuką wystawianą w Teatrze Polskim dla szkół. Drogą na skraju lasu komorowskiego szliśmy do figury Matki Boskiej w pobliżu majątku Komorów. Do Pruszkowa wracaliśmy zawsze boczną koleją zwaną „żeberkami” rozciągającymi się od przystanku EKD w Komorowie aż do pruszkowskiej stacji PKP. Niedzielne obiady jadano między godziną 13 a 14; po obiedzie był czas odpoczynku. Czytaliśmy niedzielną prasę lub książkę. Około godziny siedemnastej prawie wszyscy spotykaliśmy się na dworcu PKP. Pamiętam, że każdej niedzieli odbywała się tzw. „składka” na bilet wstępu do kina dla jakiegoś kolegi, któremu najczęściej „za karę” rodzina odmawiała pieniędzy. Składaliśmy się po pięć lub dziesięć groszy. Nigdy nie było takiego wypadku, aby któryś z kolegów nie poszedł do kina z powodu braku pieniędzy. Bilet do kina miejskiego kosztował 50 groszy. Jeśli w warszawskich kinach nie było interesującego filmu wyruszaliśmy na spacer po Nowym Świecie. W każdy niedzielny wieczór na tej reprezentacyjnej ulicy można było spotkać spacerujących kolegów szkolnych. Nasze niedzielne spotkania zakończyły się wraz z ukończeniem szkoły średniej. Kilku naszych kolegów miało już swoje dziewczyny, inni

mieli nowych przyjaciół. Tylko jedno z naszych spotkań przetrwało „próbę czasu”. Władek Raczyński po odbyciu służby wojskowej poślubił swoją dziewczynę – Irkę Krupińską.

Witek przeżył swoją szkolną miłość, gdy był w klasie maturalnej. Alina była uczennicą gimnazjum Statkowskiej mieszczącego się w domu przy ulicy Nowogrodzkiej tuż przy ulicy E. Plater. Pamiętam, że wiosną 1933 roku Witek spotykał się z Alą w Alejach Jerozolimskich i spacerowali w pobliżu dworca PKP. Razem wracali do Pruszkowa i Witek odprowadzał ją do domu. Czasami, gdy wrócili wcześniejszym pociągiem, siadywali na ławce w parku „Sokoła”. Witek w niedzielne popołudnia jeździł z Alą do Warszawy.

Ten młodzieżowy romans przerwała matka Witka, pani Julia, kilka tygodni przed maturą. Otóż któregoś dnia Witek i Ala zatrzymali się na chwilę w parku „Sokoła” i oglądali ilustracje w jakiejś książce. Siedzieli blisko siebie. Niespodziewanie zaskoczyła ich pani Julia obrzucając Alę głośnymi wyzwiskami. W parku było kilkanaście matek z dziećmi; wszyscy znali się z widzenia. Zapłakana Ala opuściła park, a oburzony Witek zaczął wymyślać matce nazywając ją „głupią babą” przynoszącą wstyd całej rodzinie. Główna awantura rozegrała się w domu i towarzyszyło jej tłuczenie talerzy przez Witka. Pan Ludwik po powrocie z pracy wysłuchawszy relacji żony stanął po stronie Witka potępiając postępowanie pani Julii.

Zapłakana Ala po powrocie do domu otrzymała od rodziców surowy zakaz widywania się z Witkiem.

Kilka dni później rozpoczęły się egzaminy maturalne. Witek rozstawał się z pewnym smutkiem z gimnazjum im. M. Reja. Miał wspaniałych nauczycieli i równie wspaniałych kolegów. Pięć lat spędzone „u Reja” pozostawiły miłe wspomnienia. Z kilkoma kolegami z klasy pozostał w kontakcie do końca swego życia. W rozmowie ze mną wielokrotnie wspominał swoich dawnych kolegów. Pamiętam dwa wydarzenia. Powtórzył mi opowieść Kazimierza Brandysa kolegi z klasy. Brandys pochodził ze spolszczonej rodziny żydowskiej.

Naszą sąsiadkę, Marysię Zenowiczówną, poznał przed wojną w redakcji młodzieżowego pisma „Kuznia Młodych”. Marysia z rodzicami przeprowadziła się do Warszawy tuż przed wojną. Podobno zamieszkali w okolicy ulicy Grójeckiej. Gdy w Warszawie tworzono getto zamieszkał z nimi Kazimierz Brandys. Nie wiem czy już był, czy miał zostać mężem Marysi. Ze względu na pochodzenie miał fałszywe dokumenty. „Żył na papierach” jak wtedy mówiono. Dla bezpieczeństwa, by nie rozpoznał go jakiś znajomy, nie wychodził w dzień na ulicę. Pracował rozklejając ogłoszenia. W tamtych latach afisze rozklejano wyłącznie w nocy. Kazimierz wychodził na miasto przed północą już podczas godziny policyjnej niosąc na plecach torbę z rulonami ogłoszeń trzymając w jednej ręce kubek z klejem, a w drugiej wielki pędzel. Pewnej nocy gdzieś w okolicy placu Zawiszy, gdy był zajęty smarowaniem klejem słupa ogłoszeniowego, zauważył zbliżający się patrol niemieckiej żandarmerii. Gdy zaczął przyklejać jakieś urzędowe ogłoszenie zatrzymało się przy nim trzech żandarmów uzbrojonych w karabiny maszynowe. Byli w bojowych hełmach. Dwaj starsi stanęli tuż za nim, a trzeci z tyłu pomiędzy nimi. Lufy trzech pistoletów były w niego wycelowane. Zapytali o dokumenty. Podał im kennkartę i nachtausweiss. Jeden sprawdzał ważność dokumentów drugi, nachylony nad stojącym na ziemi plecakiem pełnym pozwijanych ogłoszeń, patrzył na ich niemieckie tytuły. W pewnym momencie stojący z tyłu żandarm oświetlił na krótką chwilę swoją twarz. Był to kolega z ich klasy. Już nie pamiętam jego nazwiska. Gimnazjum im. N. Reja należało do Zboru ewangelickiego. Wśród uczniów byli i tacy, którzy pochodzili z rodzin niemieckich ewangelików. Niektórzy z nich spolszczyli się, inni pozostali Niemcami. Do tej grupy uczniów należał ten trzeci żandarm. Okazało się, że przyjaźń nawiązana w gimnazjum była silniejsza od więzów pochodzeniowych i rodzinnych. Żandarm oddał dokumenty i wszyscy trzej pomaszerowali Alejami Jerozolimskimi w kierunku ulicy Żelaznej. Nigdy więcej nie spotkał tego kolegi.

Inną opowieść usłyszałem od Witka pod koniec jego życia. Na początku lat osiemdziesiątych mój już nieżyjący syn Leszek przechodził jakąś chorobę nerek. Witek wiedział o tym i pewnego dnia powiadomił mnie o wizycie swego kolegi z gimnazjum. Dr Mazurek, profesor Łódzkiej Akademii Medycznej, był specjalistą urologiem. Profesor zaproponował, by Leszek odwiedził jego klinikę w Tuszyńku pod Łodzią, a on po zrobieniu badań, będzie mógł określić przebieg dalszej kuracji. Okazało się, że Leszek musi poddać się dializom oraz oczekiwać na przeszczep nerki.

Kilka miesięcy później profesor poważnie zachorował na chorobę nowotworową. W tym czasie odwiedził Witka inny szkolny kolega – znany wynalazca leku przeciwko Heine-Medynie, który przyjechał do Polski, by ofiarować ten lek. Profesor Hilary Koprowski był z Witkiem i profesorem Mazurkiem w tej samej klasie. Po wizycie w Tuszyńku stwierdził, że tylko w Paryżu jest klinika specjalizująca się w leczeniu tej odmiany nowotworu. Równocześnie obiecał, że w drodze do Stanów zatrzyma się w Paryżu, odwiedzi znajomego dyrektora kliniki i załatwi sprawę przyjęcia dr Mazurka na badania kontrolne. Po kilku tygodniach dr Mazurek pojechał do paryskiej kliniki. Tam dowiedział się prawdy o swojej chorobie. Francuscy lekarze podjęli próbę ratowania jego życia. Kuracja wymagała ponad trzymiesięcznego pobytu w szpitalu – należało trzykrotnie przetaczać krew. Gdy dr Mazurek powiedział dyrektorowi kliniki, że nie stać go na tak kosztowną kurację, dowiedział się, iż jego szkolny przyjaciel, profesor H. Koprowski zostawił czek „in blanco” na pokrycie kosztów leczenia i na bilet lotniczy do Polski. Ten przeszło trzy miesięczny pobyt doktora Mazurka w paryskiej klinice przedłużył jego życie o rok czy dwa. Witek mówił mi kiedyś o tym jak wiele zawdzięcza wychowaniu jakie otrzymał w gimnazjum Reja i o jednakowym traktowaniu uczniów bez względu na ich pochodzenie, wyznanie oraz sytuację materialną ich rodziców. W klasie Witka byli ewangelicy, katolicy, Żydzi a także kolega wyznania prawosławnego. Wszyscy byli

jednakowo traktowani. Witek do końca życia pamiętał nazwiska swoich nauczycieli, pamiętał prawie wszystkich kolegów. Z wieloma utrzymywał ścisły kontakt.

Witek kilka tygodni po uzyskaniu matury zdawał egzamin wstępny na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Po przyjęciu na studia zdecydował się na wcześniejsze odbycie służby wojskowej, by na pewien czas oddalić się od przykrej domowej atmosfery jaka panowała po wystąpieniu pani Julii w parku „Sokoła”. Rok później miał rozpocząć studia medyczne.

Pamiętam dobrze datę 19 września 1934 roku. Rok później tego samego dnia wyruszałem do odbycia rocznej służby na Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy. On jechał do 77 p.p. w Lidzie a ja do 13 p.p. w Pułtusk.

Tamtego dnia po południu przyszedłem z Witkiem na dworzec Wileński skąd miał on pojechać do Lidy. W tym dniu kończył się dla Witka pewien ważny okres w jego życiu. Rozpoczynał roczną służbę wojskową w Dywizyjnym Kursie Podchorążych w koszarach 77 p.p. w Lidzie. Pułk miał w herbie niedźwiedzia na pamiątkę słynnej „Bałki Murmańskiej”, która przywędrowała z polskimi żołnierzami z Murmańska do Polski. Zachowałem list jaki przesłał mnie Witek z Lidy w dniu 29 maja 1935 roku. W liście prosi mnie o przesłanie adresu naszego wspólnego przyjaciela – Mietka Krużewskiego. Pyta również o pruszkowskie wydarzenia i wylicza ile dni pozostało do końca jego służby wojskowej. Jest to taki typowy list jaki w tamtych latach wysyłał odbywający służbę wojskową do przyjaciela w rodzinnym mieście.

Z tygodniowego urlopu, jaki Witek spędził w Pruszkowie w końcu czerwca 1935 zapamiętałem wspólną wyprawę do Pęcic. Koniec czerwca i początek lipca był wyjątkowo upalny. Komorowskie Glinianki – stałe miejsce naszych kąpiei – było wyjątkowo zatłoczone. Ani na wysokim brzegu ani na rozległej łące nie było wolnego miejsca. Pełno było dzieciaków hałaśliwych i rozbieganych. W poszukiwaniu spokojnego miejsca powędrowaliśmy

w kierunku Utraty, gdzie w pobliżu kolejki EKD znajdowało się kilka stawów rybnych należących do majątku Pęcice. Pierwszy z nich, największy, zwany Capri, w którym już wcześniej kąpał się, był wyjątkowo pilnowany przez dwóch roślących robotników folwarcznych zabraniających kąpiele. Widocznie nadmiar amatorów kąpiele w stawie pełnym karpi i szczupaków zmusił właścicieli Pęcic do postawienia na straży dwóch uzbrojonych w kije mężczyzn. Trochę z przekory, trochę z ciekawości, postanowiliśmy udać się do dworu w Pęcicach, by przekonać pana dziedzica, że nie mamy gdzie się kąpać i trudno w taki upał wytrzymać w Pruszkowie. Wiedzieliśmy, że właściciel Pęcic, pan Antoni Marylski, był przyzwoitym człowiekiem. Chwalili go zatrudnieni w majątku ludzie. Poszliśmy we trzech – Witek, Mietek Kruszewski, który na tę okazję założył zieloną czapkę SGH oraz ja. Do dworu w Pęcicach poszliśmy dróżką nad Utratą. Przed zabudowaniami gospodarczymi kręcili się robotnicy, a przed pałacem nie było nikogo. Gdy rozmawiając głośno weszliśmy na schody, w drzwiach ukazał się jakiś starszy człowiek w liberii. Zapytał w jakiej sprawie przychodzimy. Mietek, najwyższy z nas, zapytał czy moglibyśmy się zobaczyć z panem Marylskim. „Z panem Antonim Marylskim?” Usłyszeliśmy odpowiedź: „Pana Antoniego nie ma – jest tylko pan Wojciech”. Wyszedł do nas młody, opalony mężczyzna w zielonej koszuli z krótkimi rękawami, w spodniach do konnej jazdy i w wysokich oficerskich butach. Kowbojski kapelusz z szerokim rondem trzymał w lewym ręku. Idąc nad Utratą mówiłem kolegom o reportażach z polowań w Afryce jakie Wojciech Marylski zamieszczał w popularnym przed wojną tygodniku „Świat”. Teraz oto niespodziewanie miałem przed sobą autora i bohatera tych opowiadań. Przy każdym reportażu umieszczonym w tygodniku „Świat” było jego zdjęcie. Teraz był tak samo ubrany tylko na zdjęciu trzymał w ręku karabin, a na piersiach miał lornetkę. Widząc nas zapytał czemu ma zawdzięczać naszą wizytę. Poznawszy jej przyczynę spytał kim jesteśmy i jakie są nasze zawody. Mietek powiedział, że jest

studentem SGH, Witek mówił o swoich studiach medycznych i o podchorążówce, a ja przedstawiłem się jako chemik czekający na powołanie do służby wojskowej w szkole podchorążych. Wystuchawszy opowieści Mietka o naszych trudnościach z kąpieliskami spytał Witka o jego obcy akcent. Gdy dowiedział się o dziesięciu latach spędzonych przez Witka na przedmieściu Nowego Jorku w drodze nad Utratę rozmawiał z nim o różnicach w wymowie angielskiej i amerykańskiej oraz o dialekcie Irlandczyków. Musiało być w tym coś śmiesznego, gdyż obaj zaśmiewali się. Rozmawiali po angielsku. Gdy doszliśmy do stawu pan Wojciech wskazując nas strażnikom powiedział: „Ci panowie mogą się kąpać”. Wsiadając na konia, po dość przyjaznym pożegnaniu, zaprosił nas na niedzielne popołudnie na opowieści o afrykańskich przygodach, które miał opowiadać dla grona zaprzyjaźnionych osób. Nie wiem dlaczego nie skorzystaliśmy z tego zaproszenia.

Już we wrześniu 1935 roku nasza sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Ja od 20 września rozpoczynałem roczną służbę wojskową w 4 Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy w Pułtusku, natomiast Witek rozpoczynał studia na wydziale lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. W tym czasie spotykałem się z Witkiem tylko podczas świątecznych urlopów. We wrześniu 1936 roku byłem zakochany w Heli Hartwig natomiast Witek przedstawił mi swoją miłość – Bobcię B, maturzystkę warszawskiego gimnazjum. Ładna, dużo niższa od Witka, blondynka, mieszkała z rodzicami i starszą siostrą w pobliżu pruszkowskiego kościoła. Pamiętam, że przyjemnie się z nią rozmawiało. Na początku 1937 roku, gdy podjąłem pracę w warszawskiej fabryce „F. Karpiński” widywałem się z Witkiem tylko w niedzielę. Dowiedziałem się, że zaczął bywać w domu Bobci. Poznał jej rodziców; ojciec był nauczycielem gimnazjum, siostra studentka była narzeczoną znanego sportowca Staszka Zrańka, który studiował na Politechnice Warszawskiej na wydziale budownictwa.

Nie spodziewaliśmy się, że rok 1937 będzie rokiem kończącym

nasze, tak wspaniale rozwijające się, uczucia. Bobcia zaprosiła Witka na swój bal maturalny. Pomagałem mu w kupnie odpowiedniej koszuli oraz modnego krawata. W przeddzień balu Bobcia zawiadomiła Witka, że źle się czuje i zamiast iść na bal musi leżeć w łóżku. Dla Witka był to duży zawód. Już w poniedziałek dowiedział się, że Bobcia była na balu z jakimś znajomym kończącym Szkołę Podchorążych Saperów. Ta zaskakująca wiadomość oburzyła Witka do tego stopnia, że gdy trzeciego dnia po balu Bobcia podeszła do niego z uśmiechem na peronie dworca, stracił panowanie nad sobą i nie zważając na jej wyciągniętą rękę wymierzył jej policzek, a następnie bez słowa odszedł w drugą stronę w kierunku nadjeżdżającego pociągu. Bobcia przerażona i zaskoczona wybiegła do poczekalni zalewając się łzami. Witek, mimo jej starań i usilnych zabiegów nie spotkał się już z Bobcią, nie chciał wysłuchać jej usprawiedliwień. Po wielu latach, było to już po śmierci Witka, Andrzej Will spotkał na wrocławskim rynku postarzałą i zmienioną przez czas Bobcię. Nie poznał jej, natomiast on został rozpoznany od razu – był taki jak przed wojną – wysoki i szczupły.

W kawiarni przy kawie Bobcia mówiła o swojej wielkiej miłości do Witka uważając go za jedyne prawdziwego mężczyznę jakiego spotkała w życiu. Bardzo żałowała swego postępu jednak nie umiała lub nie chciała wytłumaczyć, dlaczego nie poszła z Witkiem na bal maturalny, choć dobrze wiedziała o jego przygotowaniach i o tym, że miał wystąpić jako jej narzeczony.

Rok 1937 nie tylko dla Witka był rokiem nieszczęśliwej miłości. Ja również rozstałem się z moją Helą, która była już moją narzeczoną. Tłem naszego rozstania była oficerska promocja w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Sprawcą naszego rozstania był Józek Kuliński, który zginął w czasie wojny biorąc udział w bitwie o Anglię.

Jesienią 1938 roku Witek poznał Jadzię z ulicy Cichej. O tym, że miłość Witka była krawcową, dowiedzieliśmy się od naszego wspólnego przyjaciela Władka Raczyńskiego, który po ukończe-

niu Szkoły Poligraficznej, po odbyciu służby wojskowej i podjęciu pracy w wojskowej drukarni nawiązał życiowy „romans” z Irką Krupińską mieszkającą przy ulicy Cichej. Pewnej niedzieli wiosną 1939 roku na spacerze do Komorowa zrobiłem Jadzi i Witkowi zdjęcie na „żeberkach” łączących stację PKP z przystankiem w Komorowie. Na wakacje Witek wyjechał do Ośrodka Szkolenia lotów Szybowcowych.

W ostatnich dniach sierpnia Witek powrócił do Pruszkowa. Nie było już czasu na wakacyjne opowieści.

W dniu 3 września ogłoszono mobilizację rezerwistów, których karty mobilizacyjne były przekreślone czerwonym paskiem. Witek wraz z kilkoma kolegami – nowo mianowanymi porucznikami pojechał do Skierniewic; ja wyruszyłem do Białej Podlaskiej. Witek po przybyciu do 18 p.p. został skierowany w rejon Rawy Mazowieckiej do jednego z pułków wchodzących w skład tworzonej w pośpiechu Armii „Prusy”. Nie udało się powstrzymać uderzenia Niemców na Warszawę ani skupionej na granicy Armii „Łódź”, ani Armii „Prusy” zbyt późno zmobilizowanej. Batalion i kompania, w skład której wchodził pluton dowodzony przez Witka, uległy rozproszeniu zanim zdążyły zająć wyznaczone pozycje. Witek powrócił do Pruszkowa w cywilnym ubraniu pożyczonym od kolegi z rozbitego oddziału. Niemcy już ósmego dnia wojny dotarli do polskiej stolicy. Witek powrócił do Pruszkowa, w którym kwatrowały już oddziały niemieckie. Pod koniec października, gdy powróciłem z wojennej tułaczki, prawie codziennie spotykaliśmy się z kolegami wśród których był Witek.

Kłęska wrześniowa dotknęła nas wszystkich. Załamały się wszystkie nasze plany i zamierzenia. Trzeba było od nowa układać sobie życie.

Pewnej soboty pod koniec listopada 1939 roku przyszedł do mnie Witek z zaskakującą wiadomością, że o godzinie 18.00 w żbikowskim kościele odbędzie się ślub Jadwigi, jego ostatniej miłości. Witek przyszedł z prośbą, abym towarzyszył mu w tej kościelnej

uroczystości. Nie mogłem odmówić choć nie wiedziałem jak się zachowa w kościele. Był lekki mróz. Na ulicy było dość ślisko. Obydwaj mieliśmy wojskowe buty podkute wieloma gwoździami. Do kościoła weszliśmy punktualnie o godzinie 18.00. We wnętrzu panował półmrok; tylko ołtarz był oświetlony, a przy ołtarzu wiadać było księdza i klęczącą przed nim parę nowożeńców. Kilkaście osób uczestniczyło w uroczystości. Weszliśmy do kościoła bocznym wejściem, ale stukot naszych butów zwrócił na nas uwagę. Zatrzymaliśmy się przy pierwszych ławkach. Po chwili ksiądz zwrócił się do nowożeńców. Wyszliśmy z kościoła przed końcem ślubowania. Nie zamieniliśmy ani jednego słowa na temat Jadwigi. Odprowadziłem Witka aż do furtki jego domu trzymając go pod rękę. Może dla bezpieczeństwa a może, by dodać mu otuchy. Rozmawialiśmy o ostatnich wiadomościach usłyszanych w radio angielskim i francuskim. Snuliśmy plany na temat dalszych wydarzeń wojennych. Dopiero przy furtce przy pożegnaniu usłyszałem od Witka „Oto zobaczyłeś jak kończą się wielkie uczucia. Życie jest silniejsze od naszych zamierzeń, planów i marzeń”

Nigdy nie rozmawiałem z Witkiem o jego uczuciach do Jadzi choć dziwiłem się, że zakochał się w takiej dziewczynie. Jadzia była miłą dziewczyną z dużym poczuciem humoru, ale rozmowy z nią nigdy nie wybiegały poza poziom czytawanego przez nią „Ekspresu Wieczornego”, który opisywał obyczaje polskich aktorek i aktorów, polskie filmy oraz sensacje towarzyskie. Dziwiłem się wtedy Witkowi, że dokonał takiego wyboru; sądziłem, że zrobił to na złość swojej matce, pani Julii, której nie mógł zapomnieć awantury z Alą. Przez następne lata nie wspominaliśmy tych wydarzeń, a nawet nigdy nie wspominaliśmy Jadzi.

Niespodziewanie po kilkudziesięciu latach spotkałem Jadzię. Witek już nie żył od kilku lat. Byłem wtedy z Ziną w Teatrze Narodowym; nie pamiętam na jakiej sztuce. Mieliśmy miejsca na balkonie. W czasie przerwy podeszła do mnie nieduża, pulchna bileterka w służbowym uniformie. Niespodziewanie usłysza-

łam znajomy głos: „Kogo ja widzę? Pan Henryk nas odwiedził” Głos wydawał się znajomy, uśmiech kogoś mi przypominał, ale w pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć skąd my się znamy. Usłyszałem wtedy: „Jak to! Jadwigi pan nie poznaje?” Przyglądałem się dokładnie jej zadbanej twarzy i tęgiej postaci; to była ta sama Jadzia tylko starsza; jedynie uśmiech pozostał ten sam. O śmierci Witka dowiedziała się z gazety. Wiedziała o rozwodzie z Wandą, pytała o Ewę i o Małgosię. Mówiła mi, że kochała Witka jednak zdawała sobie sprawę, że nie będzie dla niego odpowiednią żoną, że zbyt wiele ich dzieliło. Szeptem powiedziała mi, że nigdy nie przestała kochać Witka.

Na początku 1940 roku powrócił Andrzej Will z lubuskiego Komarowa gdzie ozdabiał freskami parafialny kościół. Tak się złożyło, że jednego dnia przyszli do mnie trzej przyjaciele – Witek, Andrzej oraz Janek Drzewiecki. Po wspólnym wieczorze zapragnęli zrobić sobie wspólne zdjęcie. Na głowy założyli małe poduszki i udawali napoleońskich gwardzistów w karykaturze.

Janek rozpoczął pracę w fabryce Mechaników, która teraz, po przejściu jej przez Niemców miała nosić nazwę „*Waverma – Warschauer Vereinigtete Fabrik Maschinen*”. Andrzej i Witek postanowili wtedy podjąć pracę w Warsztatach



Witold Pakulski i Henryk Krzyczkowski – wiosna 1939 r.

Kolejowych nazywających się teraz OAW – *Ostbahnausbesserungswerke* – „Warsztaty Naprawcze Niemieckich Kolei Wschodnich”. Praca Andrzeja polegała na malowaniu napisów na wyremontowanych wagonach a Witek został brygadzystą w polskiej firmie budowlanej świadczącej usługi na terenie warsztatów. Mieli lekką pracę lecz mało płatną. Liczył się jednak zapewniający bezpieczeństwo podczas ulicznych łapanek Ausweiss oraz skromny miesięczny deputat żywnościowy a także setka papierosów „Junak” i butelka wódki.

Kilka miesięcy później obaj zmienili pracę. Witek zaczął pracować w szpitalu na Wrzesinie natomiast Andrzej został kreślarkiem w Biurze Konstrukcyjnym fabryki „Waverma” Wynagrodzenie było niskie natomiast warunki pracy poprawiły się. Witek pełnił obowiązki pomocnika lekarza, zaś Andrzej siedział za stołem kreślarskim i udawał, że pracuje.

Pewnego dnia, ku mojemu zaskoczeniu, dowiedziałem się od Witka, że ma zamiar poślubić pielęgniarkę Wandę Rudnicką pracującą razem z nim w szpitalu na Wrzesinie. W okresie międzywojennym do szkoły pielęgniarek dostawały się dziewczęta z maturą. Wanda natomiast ukończyła tylko jakiś kurs dla położnych, była więc pielęgniarką nie dyplomowaną co w okresie wojny i okupacji było rzeczą naturalną. Witek poprosił mnie, bym był świadkiem na jego ślubie. Jeśli miałem jakieś zastrzeżenia do tego ślubu to były one spowodowane panującymi wtedy ciężkimi warunkami materialnymi; nie dotyczyły one panny młodej, której w ogóle nie znałem. Podobne zastrzeżenia miałem i do ślubu Andrzeja z Krysią Trapszo-Kwinto, a także do projektu małżeństwa Staszka Kowalczyka z Anią Głowacką. Trzem moim przyjaciółm radziłem, by się zastanowili, jednak moje rady nie odnosiły żadnego skutku.

Ślub Witka z Wandą odbył się w dniu 30 kwietnia 1941 roku w kościele ewangelicko-augsburskim przy placu Małachowskiego w Warszawie o godzinie 17.30. Nie pamiętam już dlaczego nie byłem na tej uroczystości; byłem za to na skromnym przyjęciu wesel-



Goście weselni po ślubie z Wandą

nym w jego rodzinnym domu. Wśród gości byli Ludwika Klisiowa i jej mąż Tadeusz. On był urzędnikiem skarbowym, ona przed wojną była sekretarką profesora Lotha na wydziale lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Tadeusza zapamiętałem jako dowcipnego rozmówcę, który był duszą towarzystwa. Lubił opowiadać dowcipy – one „zaprowadziły” go w czasach PRL-u do więzienia. Pełnił wtedy funkcję zastępcy naczelnika Urzędu Skarbowego w Warszawie przy ulicy Żurawiej. Na imieninach u naczelnika jak zwykle zabawiał gości dowcipami. Następnego dnia został aresztowany, ponieważ ktoś z obecnych doniósł UB o tych publicznie głośzonych antyrządowych dowcipach. Został skazany na rok więzienia za publiczne ośmieszanie najwyższych czynników naszego państwa. Dzięki staraniom żony wyszedł po dziewięciu miesiącach.

W 1942 roku Witek zmienił pracę. Dzięki znajomościom został przyjęty do Ośrodka Zdrowia w Piastowie, gdzie miał pomagać kierownikowi doktorowi Makowskiemu.

Najbliższym sąsiadem Witka był Andrzej Will, który po rozstaniu się z żoną, wynajął pokój na strychu w domu Flisa na wprost

domu Pakulskich. Andrzej stworzył tak wspaniałą atmosferę na stryżku, że chętnie przychodzili do niego znajomi. Ja spędzałem u niego niedzielne wieczory. U Andrzeja powstał tomik poezji Staszka „Osty kwitnące”, do którego razem wybieraliśmy wiersze i rysunki Andrzeja. U niego też narodził się pomysł wydania „Kieszonkowego Kalendarza Kieszonkowca na rok 1944. Witek był autorem kilku powiedzonek. Zapamiętałem jedno z nich – „Nie bierz wszystkiego – zostaw dla drugiego”. O udziale Witka w tworzeniu „Kalendarza” może świadczyć umieszczona na końcu reklama „Przy zaparciach – to rzecz brzydka – bierz pięć złotych i pędź do Witka”.

Pewnego wieczoru pod koniec 1943 roku Witek sprowadził do Andrzeja starszą kobietę, sprzątaczkę z piastowskiego Ośrodka Zdrowia. Przed wojną mieszkała po lewej stronie Bugu. Pochodziła z zamożnej ziemiańskiej rodziny. Pewnego ranka pojechała furmanką do pobliskiego Kowla. Gdy wróciła dwór był splądrowany, a mąż z dwoma synami i córką zostali wywiezieni na Sybir czy do Kazachstanu. Nocą przeprawiła się przez Bug; zamieszkała w Piastowie, gdzie podjęła pracę sprzątaczką w Ośrodku Zdrowia. Witka zadziwiła jej zdolność przewidywania śmierci niektórych pacjentów Ośrodka. „Tego nie warto leczyć. On i tak niedługo umrze”. Zazwyczaj nie myliła się. W Ośrodku dorabiała wróżąc z kart. Witek twierdził, że ona jest jasnowidzem. Na „górcę” u Andrzeja stawiała nam karty. Jej wróżby nie były dla nas pomyślne. Andrzej czekała daleka droga, krzywiła się na nasze małżeństwa. Staszce nie chciała postawić kart. Następnego dnia powiedziała Witkowi, że Staszek niedługo zginie. Witek powiedział nam to w tajemnicy przed Staszkiem. Naszym marzeniem było wydanie drugiego tomiku wierszy Staszka. Niestety wybuch Powstania Warszawskiego zmienił nasze plany. Kilka dni później dowiedzieliśmy się o tragicznej śmierci Staszka. Witek pojechał z jego matką po ciało Staszka do Kań. Nazajutrz odbył się pogrzeb na pruszkowskim cmentarzu. Staszek został pochowany obok swojej żony Ani i córki Ewuni.

Andrzej wraz z ewakuowaną fabryką „Waverma” został wywieziony do Wrocławia. Do Pruszkowa już nie powrócił; zamieszkał w tym mieście.

Dla Witka los też nie był łaskawy. Już pod koniec 1944 roku coś zaczęło się psuć w jego małżeństwie, a w połowie 1945 roku Wanda wyprowadziła się z domu teściów. Gdy Witek był na ostatnim roku studiów dostał pracę w Ambasadzie Amerykańskiej. Na pewno pomogła jemu dobra znajomość języka angielskiego. Witek pełnił obowiązki lekarza konsultanta przy Wydziale Konsularnym Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Badał ubiegających się o wyjazd do Stanów, bo tylko zdrowi mogli otrzymać wizę. Witek miał dużo pracy; nie przeszkadzało mu to w kontynuowaniu studiów. Miał dobre wynagrodzenie, a ponadto mógł korzystać z kantyny, w której sprzedawano amerykańskie towary po bardzo niskich cenach. Dzięki Witkowi chodziłem w nieprzemakalnym płaszczu koloru zielonkawego, a także w kapeluszu „Stetson” takim, jakie widzieliśmy w amerykańskich filmach. Musiałem wyglądać egzotycznie na tle skromnie ubranych ludzi spotykanych na ulicach odbudowywanej Warszawy.

Do pracy w Warszawie jeździłem wtedy kolejką EKD wraz z Witkiem, któremu towarzyszyła młoda, ładna dziewczyna. Miała na imię Mira i pracowała w jakimś banku na ulicy Nowogrodzkiej. Nigdy nie pytałem o jej nazwisko. Mira była inteligentną towarzyszką podróży o miłym uśmiechu.

Nie pamiętam już daty otrzymania wezwania do sądu jako świadek w procesie rozwodowym Witka z Wandą. Drugim świadkiem była dr Izabela Wolframówna. Wanda miała jakiegoś obrońcę. Witek był z rodzicami. Stałem z panią doktor pod salą, w której odbywała się sprawa rozwodowa. Zza drzwi dochodziły do nas ostre słowa Wandy i pana Ludwika a także płacz pani Julii.

Wywołano mnie jako ostatniego świadka. Nie wiem co zeznała pani Iza. Podczas tego procesu poznałem wiele szczegółów z życia Wandy. Współczułem Witkowi, który głęboko przeżywał tę sprawę.

wę w sądzie. Kilka dni później Sąd ogłosił wyrok. Witold uzyskał rozwód, ale jemu i jego rodzinie zabroniono widywać się z córką i wnuczką.

Kilka miesięcy później Witek musiał zdać ostatni egzamin. Gdy dostał dyplom został powołany do Ludowego Wojska. Dano mu przydział do dużego zakładu karnego w Strzelcach Opolskich. O swej dwuletniej służbie w więziennictwie Witek nie chciał z nami rozmawiać. Nie był to przyjemny okres w jego życiu.

Jedyną jasną stroną pobytu w Strzelcach Opolskich było poznanie Małgosi, która uczyniła go szczęśliwym. Była dobrą żoną i wzorową gospodynią.

Po zwolnieniu z wojska Witek nie mógł znaleźć pracy ani w Warszawie ani w województwie warszawskim. Przyczyną tej sytuacji była jego praca w Ambasadzie Amerykańskiej. Były to przecież lata wszechwładzy Urzędu Bezpieczeństwa, lata stalinowskiego terroru. Wybrał wtedy Konin, gdzie przez kilka lat był jedynym chirurgiem ginekologiem.

Dopiero po wielu latach Witek opowiedział mi o szykanach stosowanych wobec niego przez UB. Wielokrotne przesłuchania, rewizje w mieszkaniu, legitymowanie niektórych gości a nawet osobiste rewizje dokonywane na klatce schodowej przed wejściem do domu. Te wszystkie działania ustały z chwilą zakończenia pracy w Ambasadzie. Witek zdawał sobie sprawę z tego, że zarówno nakaz pracy w więziennictwie jak i uniemożliwienie pracy w Warszawie, to wynik zakonspirowanej działalności Urzędu Bezpieczeństwa. Nigdy nie stracił nadziei, że będzie mógł wrócić do Pruszkowa. Nawet zaczął budować willę przy domu swych rodziców przy ulicy Parkowej.

Niespodziewane nastąpiły wydarzenia, które ukształtowały dalsze życie Witka. Pewnego dnia Wanda wraz z Ewą były w sklepie u zbiegu ulic Kościuszki i Daszyńskiego. Stojąca przy oknie Ewa zobaczyła dziadka. Wyszła ze sklepu i pobięła do idącego po drugiej stronie ulicy dziadka. Po serdecznym przywitaniu wy-

raziła chęć spotkania się z babcią. Dziadek nie zauważył Wandy stojącej w kolejce wewnątrz sklepu. Ulegając prośbie Ewy poszedł z nią w kierunku domu zamierzając odprowadzić dziecko do sklepu. Gdy dziadek z Ewą weszli już na podwórko niespodziewanie ukazał się Witek, który skręcił w ulicę Parkową kierując się w stronę domu swoich rodziców. Zauważyła to Wanda. Witek przywitał się z Ewą i nie zdejmując płaszcza chciał ją odprowadzić do matki. W tym momencie ktoś głośno zastukał do drzwi; okazało się, że była to Wanda z sierżantem milicji, który spisał protokół. Wkrótce odbyła się rozprawa w warszawskim sądzie. Nie pomogły żadne tłumaczenia ani zaświadczenia. Witek otrzymał surowy wyrok – rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Na pewno był to dzień tryumfu Wandy.

Kilka miesięcy później Witek z Małgosią zamieszkali w swojej willi przy ulicy Sobieskiego w pobliżu domu rodziców. Witek nareszcie otrzymał zezwolenie na pracę w pobliżu Warszawy. Został chirurgiem w przychodni Warsztatów Kolejowych w Pruszkowie. Małgosia została zatrudniona w międzynarodowej centrali telefonicznej przy ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie.

Życie Wandy mimo dwóch sądowych „sukcesów” nie należało do łatwych. Za wyłączne prawo wychowywania córki zapłaciła zrzeczeniem się alimentów, a wyrok skazujący byłego męża na rok więzienia w zawieszeniu dawał jej tylko wątpliwą satysfakcję, że oboje mają za sobą wyroki. Nie wiem, gdzie Wanda pracowała po wyjściu z więzienia – jedno jest pewne – niewiele zarabiała. Chcąc zapewnić jakieś godziwe życie córce musiała starać się o dodatkowe źródło dochodu. Podejmowała się usuwania ciąży u kobiet, które nie miały pieniędzy, by udać się do prywatnego ginekologa. Wanda nie miała odpowiedniego przygotowania do ich wykonywania; kilka razy udało się jej aż raz zawiodło szczęście lub zgubiła ją zbyt duża pewność siebie. Wanda zdecydowała się na przerwanie ciąży u mieszkanki Nadarzyna, matki czworga dzieci. Zabieg się nie udał; kobieta trafiła do szpitala gdzie zmarła. Przed śmiercią

podała nazwisko Wandy. Sprawa nabrała rozgłosu. Winną śmierci kobiety aresztowano. To już była recydywa. Wyrok sądu był surowy – piętnaście lat więzienia. Witek od chwili aresztowania Wandy starał się o zawieszenie wyroku zabraniającego mu widywania się z Ewą. Po kilkumiesięcznych staraniach Sąd wyraził zgodę na przejście opieki nad Ewą przez ojca. Dziewczynka nareszcie przestała błąkać się po znajomych i przyjaciółkach Wandy. Powróciła do domu dziadków Pakulskich, a następnie w willi należącej do Witka. Do dziadków miała bardzo blisko. Ewa nareszcie powróciła do swego dawnego normalnego życia. Małgosia była dla niej bardzo dobra. Ewa dobrze ubrana i należycie odkarmiona, ukończyła szkołę podstawową i rozpoczęła naukę w Liceum im. T. Zana. Z nauką nie miała żadnych problemów. Ewie nie mówiono, że matka jest w więzieniu. Witek wytłumaczył jej, że Wanda musiała wyjechać i jak wróci do Pruszkowa to na pewno zobaczy się z nią. Odwiedzając Witka, kilka razy rozmawiałem z Ewą. Pytałem o szkołę, o nauczycieli. Była rozmowna, uśmiechnięta wyglądała na szczęśliwe i zadowolone z życia dziecko. Witkowi i mnie wydawało się, że przeżywała najszcześniejszy okres w swoim życiu.

Natomiast Witek, po drobnym incydencie z sekretarką dyrektora Warsztatów Kolejowych, stracił pracę. Sekretarka cierpiała na hemoroidy. Witek dał jej skierowanie do specjalisty, ale by ulżyć cierpieniom przepisał jej czopki. Następnego dnia z samego rana, nie zważając na długą kolejkę oczekujących na wizytę u lekarza, wpada do gabinetu wzburzona sekretarka krzycząc „Panie doktorze! Wychodząc do pracy łyknęłam jeden czopek i nie wiem co się ze mną dzieje” Zdenerwowany Witek wykrzyknął „Jak to łyknęła pani czopek? To pani nie wiedziała, że czopków się nie łyka?” W gabinecie lekarskim zaległa cisza, a na korytarzu w długiej kolejce oczekujących na wizytę, głośną rozmowę zaczął przerywać śmiech. Sekretarka zaniemówiła. Spojrzała z wściekłością na Witka i wybiegła z pokoju trzaskając drzwiami. Przez cały dzień mówiono o tym wydarzeniu na terenie warsztatów. Następnego

dnia Witek został zaproszony do gabinetu dyrektora naczelnego. Po krótkiej rozmowie uzgodniono, że Witek zostanie zwolniony na własną prośbę. Dwa dni później rozpoczął pracę w warszawskim Pogotowiu Ratunkowym. Dyrekcja Warsztatów wystawiła mu bardzo dobrą opinię.

Okres pracy Witka w Pogotowiu był najszcześniejszym okresem jego życia. Małgosia okazała się bardzo dobrą żoną i wzorową opiekunką dla Ewy, z którą nie było żadnych kłopotów. Uczyła się dobrze, obiady jadała u dziadków, którzy dosłownie uwielbiali wnuczkę.

Dzięki wieloletniej i ofiarnej pracy w Pogotowiu Witek stał się znany i ceniony w warszawskich szpitalach. Stwierdziłem to podczas choroby mojej żony, która miała zapalenie ucha środkowego. Była to bardzo bolesna dolegliwość. Zadzwoiłem do Witka, który już był na emeryturze. Po paru minutach zawiadomił mnie, że przyjedzie do nas sanitariusz i zabierze moją żonę do szpitala Czerniakowskiego gdzie trwa ostry dyżur laryngologiczny. Zarówno lekarze jak i sanitariusze oraz kierowca karetki dopytywali się o zdrowie Witka nazywając go „Szeryfem”. Ta popularność naszego przyjaciela i szacunek, jakim go obdarzali pracownicy Pogotowia była dla nas miłym zaskoczeniem.

Na początku lat sześćdziesiątych Ewa zdała egzamin maturalny w liceum im. T. Zana w Pruszkowie. Radość w rodzinie Pakulskich była ogromna. Ewa uczyła się dobrze. Nie było z nią żadnych problemów. Postanowiła studiować medycynę. Witek poruszył „różne sprężyny”, by Ewa została przyjęta W nagrodę za pomyślnie zdany egzamin maturalny Witek kupił dla niej włoski skuter. Od początku czerwca Ewa uczyła się dodatkowo biologii i chemii, których bała się na egzaminie. Witek uspakajał Ewę mówiąc, że dzieci lekarzy mają pierwszeństwo – warunkiem było pomyślne złożenie egzaminu.

Niespodziewanie nastąpiły wydarzenia, które przekreśliły plany i marzenia nie tylko Ewy ale i całej rodziny. Pewnego dnia, na kilka dni przed egzaminami wstępnymi na Akademię Medyczną, Ewa pojechała na skuterze do koleżanki i do domu już nie wróciła.

Przed wieczorem, gdy Witek zaniepokojony o los córki miał zawiadomić milicję, zadzwonił telefon. Mówił mi później, że to był dla niego jak „grom z jasnego nieba”. Była to Wanda, która ostrym nieprzyjemnym tonem zawiadomiła go, że Ewa zostanie z nią.

Rano ktoś przed furtką zostawił skuter. Ewa już nigdy nie pojawiła się ani w domu Witka, ani u dziadków. Odeszła bez słowa pożegnania. Dla Witka był to silny wstrząs. Nie potrafił zrozumieć postępowania Ewy, która była kochana zarówno przez ojca jak i dziadków. Dziwić może fakt, że Ewa nigdy, nawet w tajemnicy przed matką, nie przyszła do ludzi, którzy ją kochali i stworzyli jej dom, kiedy matka była w więzieniu. Dziadkowie, gdy zrozumieli, że stracili swą ukochaną wnuczkę na zawsze, sprzedali swój dom i wrócili do Łask, koło Łodzi – do miejsca swoich urodzin. Witek po kilku tygodniach dowiedział się, że Ewa pracuje jako rejestratorka w pruszkowskim Pogotowiu Ratunkowym. Trudno było zrozumieć, że Wanda wolała, by córka była urzędniczką zamiast pozwolić jej podjąć wymarzone studia. Witek nieprędko odzyskał równowagę ducha. Cios był bardzo mocny. Wanda zemściła się na Witku i na jego rodzinie, ale dlaczego skrzywdziła swoją córkę?

Witek musiał pogodzić się z nową sytuacją; nadal pracował w Pogotowiu w Warszawie, przyjmował też prywatnie. Małgosia, dzięki dobrej znajomości niemieckiego i angielskiego pracowała w międzynarodowej centrali telefonicznej na dwie zmiany. Gdy wracała z drugiej zmiany Witek zawsze wychodził po nią na dworzec.

Pewnego dnia na to szczęśliwe małżeństwo spadło wielkie nieszczęście. Witek wracał karetką Pogotowia od chorego. Gdy karetka zatrzymała się na światłach, niespodziewanie zostali uderzeni przez samochód prowadzony przez nieuważnego kierowcę. Uderzenie było tak silne, że głowa Witka została z dużą siłą odrzucona do tyłu, wskutek czego doznał on naruszenia kręgow szyjnych. Kuracja trwała kilka miesięcy. Sprawcą tego tragicznego wydarzenia był brat znanego sprawozdawcy sportowego Bogdana Tomaszewskiego. Odszkodowanie, które musiał zapłacić nie zrekom-

pensowało cierpień jakie przeżywał Witek. Gdy Witek po wielu miesiącach wrócił do pracy, był już innym człowiekiem. Utracił dawne poczucie humoru. Nie był też tak sprawny fizycznie jak przed wypadkiem. Po kilku latach po tym wypadku rozpoczęły się kłopoty z sercem. Czekał go pobyt w szpitalu oraz przejście na emeryturę.

Na początku lat osiemdziesiątych przyjeżdżałem do Pruszkowa na zaproszenie Witka, razem spacerowaliśmy po ulicach naszego miasta. Małgosia twierdziła, że po takim spacerze Witek ożywia się i poprawia się jego samopoczucie.

Pamiętam, że podczas rekonwalescencji związanej z chorobą serca Witek i Małgosia prosili mnie, bym towarzyszył jemu podczas spacerów. Spacerując po Pruszkowie Witek opowiedział mi o dwóch tragicznych wydarzeniach w jego kilkudziesięcioletniej pracy w warszawskim Pogotowiu Ratunkowym. Jedno z nich miało miejsce w pierwszych tygodniach jego pracy w pogotowiu. Milicja wezwała lekarza ginekologa do jednego z bloków mieszkalnych na Muranowie. Na klatce schodowej stało trzech milicjantów; lokatorów zbudziły rozpaczliwe krzyki dochodzące z mieszkania młodej kobiety oraz płacz dziecka. Po kilku minutach wszystko ucichło. Milicja wyważyła drzwi, ponieważ kobieta nie reagowała na dobijanie się do drzwi. W pokoju na tapczanie pokrytym zakrwawioną pościelą leżała nieprzytomna kobieta. Na stoliku było pełno pustych opakowań po środkach nasennych. W łazience na podłodze obok wanny leżało zawinięte w ręcznik martwe niemowlę. Zabrano je wraz z nieprzytomną matką do szpitala. Rok później Witek był świadkiem na rozprawie sądowej. Kobieta łamiącym się głosem prosiła o wyrok dożywotniego więzienia. Witek nie czekał na ogłoszenie wyroku. Prokurator po wysłuchaniu zeznań ojca dziecka – prezesa spółdzielni, w której pracowała oskarżona - stwierdził, że ten świadek powinien być współ-oskarżonym. Drugie tragiczne wydarzenie dotyczyło zbrodni popełnionej w Komorowie. W zaroślach przy dróżce łączącej dwie równoległe uliczki,

leżało ciało czternastoletniej dziewczynki wielokrotnie zgwałconej i uduszonej. Zapłakana matka klęczała obok zwłok córki, a ojciec stojąc obok żony, płakał poruszając wargami w cichej modlitwie. Dziewczynka ukończyła szkołę podstawową w Komorowie. Przed wieczorem poszła do szkoły na pożegnalny wieczorek taneczny, z którego nie wróciła do domu. Rodzice całą noc szukali córki, pukali do mieszkań jej kolegów i koleżanek. Nikt nie wiedział z kim wyszła z zabawy. Wieczorek zakończył się przed godziną 22.00. Na dworze było już ciemno. Rano jeden z sąsiadów idąc do pracy zobaczył zwłoki dziewczynki. Zawiadomiono milicję w Pruszkowie. Zostawione ślady świadczyły o tym, że było kilku gwałcicieli. Milicja zażądała przyjazdu lekarzy – ginekologa i chirurga z warszawskiego pogotowia. Dziewczynka po zgwałceniu została uduszona. Tego dnia Witek pełnił dyżur. Przyjechał do Komorowa wraz z kolegą chirurgiem. Witek stwierdził wielokrotne zgwałcenie, a chirurg opisał pozostawione na ciele dziewczynki ślady uderzeń oraz uduszenie. Ciało dziewczynki przewieziono do jednego z warszawskich szpitali, gdzie przeprowadzono sekcję zwłok. Wielomiesięczne śledztwo nie przyniosło rezultatu. Sprawcy zbrodni pozostali nieznani.

Osiedle letniskowe Komorów powstało przed pierwszą światową. Przyjeżdżały tutaj na wypoczynek warszawska inteligencja oraz bogaci mieszczaństwo. Do Komorowa jeździł wtedy ze stacji kolejowej w Pruszkowie konny tramwaj. W okresie międzywojennym Komorów stał się letniskiem bogatych mieszkańców Warszawy przyjeżdżających kolejką EKD. Spokojne życie Komorowa zakłóciły wydarzenia drugiej wojny światowej. Najgorsze jednak przyszło kilka lat po wojnie. W latach 1946-47 władze komunistyczne zarządziły dokwaterowanie do obszernych pomieszczeń zajmowanych przez właścicieli willi, ludzi z tzw. marginesu społecznego, różnych pijaczków i złodziejasków. Po wprowadzeniu nowej normy mieszkaniowej – 8 m² na osobę – do każdej willi dokwaterowano nowych lokatorów. Dla właścicieli, którzy musieli

we własnych domach znosić obecność narzuconych sublokatorów, rozpoczął się tragiczny okres. Niektórzy sublokatorzy wyprowadzili się po kilku latach, inni przez kilkanaście lat dokuczali „burżujom”. Sprawcami tej tragicznej zbrodni w Komorowie, którą Witek wspominał po wielu latach, byli ci „sublokatorzy”.

Po pięciu latach gadulstwo podpitego żołnierza doprowadziło do ujęcia sprawców tej zbrodni. W niedzielne popołudnie w zachodniopomorskim garnizonie kilku żołnierzy popiło się. Kilku „biesiadników” zostało w koszarach, a trzech wyruszyło do miasta. Gdy nie udało im się poderwać żadnej dziewczyny, jeden z nich „pochwalił się” gwałtem i morderstwem dokonany na młodej dziewczynie oraz umorzeniem śledztwa z powodu braku dowodów. Historia ta dotarła do dowódcy kompanii, który skontaktował się z Komendą Milicji w Pruszkowie. Po dwóch dniach żandarmeria wojskowa przewiozła żołnierza do Warszawy. Szybko ustalono nazwiska trzech pozostałych sprawców zbrodni w Komorowie. Wszyscy pochodzili z rodzin przesiedlonych ze stolicy do Komorowa. Kilka miesięcy później odbył się ich proces. Witek zeznawał jako świadek. Zapamiętał twarze zrozpaczonych rodziców oraz butne i wyzywająco beztroskie zachowanie czwórki oskarżonych. Jeden z oskarżonych nazwał zamordowaną „burżujką, która nie chciała się z nimi bawić”. Dodał także słowa Lenina, który wzywał do zabijania burżujów. Wszyscy sprawcy tej zbrodni zostali skazani na śmierć przez powieszenie.

Stan zdrowia Witka stopniowo się poprawiał. Chodziliśmy na coraz dłuższe spacery, aż pewnej soboty wybraliśmy się do jednego z warszawskich kin. Korzystając z zaproszeń doktor Heleny Piotrowskiej zaczęliśmy bywać na wernisażach w Muzeum Narodowym, gdzie spotykaliśmy elitę kulturalną stolicy. Witek spotykał tutaj swoich dawnych znajomych, kolegów z gimnazjum im. Reja i z Akademii Medycznej. W dniu 1 września chodziliśmy na cmentarz Powązkowski, by złożyć kwiaty i zapalić znicze na mogile marszałka Rydza-Śmigłego natomiast 1 sierpnia na cmenta-

rze wojskowym szukaliśmy grobów naszych znajomych. Witek i Małgosia byli częstymi gośćmi w naszym domu. Snuliśmy wspomnienia o naszej młodości. Na początku lat osiemdziesiątych stan zdrowia Witka raptownie się pogorszył. W tym czasie z okazji wizyty Papieża w naszym kraju przyjechał do Polski z Bielefeld (RFN) pastor Herman Wilm z małżonką. W czasie swego pobytu w Polsce spotkał się między innymi z pastorem Nast, który pochodził z Pruszkowa i dobrze znał Witka. Pastor Nast wiedząc o kłopotach ze zdobyciem leków dla Witka najprawdopodobniej przyczynił się do ich przysyłania przez pastora Wilm.

Gdy po raz ostatni odwiedziłam Witka siedział w fotelu otulony szlafrokiem. Z pokoju na górze patrzył przez okno na ulicę Parkową. W rogu stała stalowa butla mająca około metra wysokości. Gdy Witek dostrzegł, że na nią patrzę, wyjaśnił: „to tlen. Jak brakuje mi tchu to oddycham tlenem”. Serce mi się ścisnęło na widok Witka. Wychudzony i nie ogolony. Ucałowałem go. Usiadłem w fotelu na wprost niego i patrzyłem w jego zmęczone cierpieniem oczy. Witek powiedział, że najgorzej jest w nocy, gdy nadmiernie dokucza mu atak kaszlu. Gdy usiadłem w fotelu zaczął mówić mi o Ewie, o swojej miłości do niej, o tym że chciał się z nią zobaczyć. Wspominał jej maturę i chęć studiowania medycyny. Dodał, że gdy Wanda zabrała Ewę jego szczęśliwe życie zakończyło się. Mówił o swoich rodzicach i tym, że powrócili do swego rodzinnego miasta i tam umarli nie mogąc zrozumieć dlaczego utracili ukochaną wnuczkę.

By zmienić temat rozmowy opowiadałem Witkowi o spotkaniu z Andrzejem Willem i jego oburzeniu na „Wolną Europę”, która nieprawdziwą informację jakoby Andrzej odbierał pracownie malarskie artystom internowanym po ogłoszeniu stanu wojennego. „To kłamstwo wysrane z bardzo brudnego palca” – twierdził Andrzej. Witek, który wieczorami słuchał audycji „Wolna Europa” i „Głos Ameryki” był wstrząśnięty usłyszawszy taką informację. Gdy po kilku godzinach pożegnałem Witka był znacznie spo-

kojniejszy. Ożywał się gdy wspominałem nasze wspólnie przeżyte lata. Gdy Małgosia odprowadzała mnie do furki łyzy ciekły jej z oczu. Powiedziałem „Musisz się trzymać, Małgosiu”. Kilka dni później zadzwoniła do mnie, by zawiadomić o śmierci Witka. Umarł w drodze do szpitala do Warszawy.

Dwa dni później zawiadomiła nas o terminie pogrzebu. Zadzwoiłem, do Wrocławia. Andrzej wiedział już o śmierci Witka. Przeczytał nekrolog w „Życiu Warszawy”. Na pogrzeb przyjechał z Ireną. Oczekiwałem na ich przyjazd z Ziną. Mieliśmy dużo czasu do pogrzebu. Nie spiesząc się szliśmy Alejami do ulicy Towarowej. Tramwajem dojechaliśmy na cmentarz. Opowiadałem o moim ostatnim spotkaniu z Witkiem, a później Andrzej mówił o tym jak przed wielu laty budował wraz z Witkiem kajak, którym mieli płynąć Utratą do Bzury i dalej Wisłą do Gdańska. Nie ukończyli budowy kajaku, który został gdzieś w piwnicy u Witka.

W cmentarnej kaplicy modlono się o spokój duszy Witka. Małgosia witając się z nami powiedziała, że przed zamknięciem trumny włożyła do kieszonki kamizelki złotą monetę z podobizną Papieża. W kondukcje pogrzebowym szło kilkadziesiąt osób – grupa współpracowników z Pogotowia oraz koledzy z Pruszkowa. Był Ali Morawski, Janek Drzewiecki oraz Mietek Duda. Gdy po wyjściu z kaplicy szliśmy za trumną zauważyłem, że Andrzej nie przywitał się z Mietkiem choć obaj dobrze się znali – razem byli w pruszkowskim „Sokole”. W skoku w wzwyż konkurowali ze sobą, razem występowali w sztukach wystawianych przez Kółko Dramatyczne. Niezapomniany sukces odnieśli w „Królowej Przedmieścia” śpiewając w duecie. Nie widzieli się przez blisko pół wieku. Podszedłem do Andrzeja mówiąc, że ktoś chce go poznać. Po prezentacji zdumieni padli sobie w ramiona. Oto co robią z nami lata.

Na cmentarzu zjawił się Stanisław Gonta; Witek studiował medycynę z jego bratem Tadeuszem, który był znakomitym chirurgiem kardiologiem. Po tragicznych wydarzeniach w Warszawie wyjechał z rodziną do Szwecji, gdzie praktykował. Zmarł kilka

tygodni wcześniej niż Witek. Stasiak powiedział mi, że po śmierci brata rozmawiał prawie całą noc z Witkiem. Wspominali Tadeusza i ich wspólną młodość – Tadeusz i Stanisław Gontowie byli kolegami Witka z gimnazjum Reja.

Na pogrzebie była Wanda i mąż Ewy – Lewandowski, dawny piłkarz „Znicza”. Przy grobie przemawiał w imieniu żony i córki zmarłego. Słowo córka na pewno ucieszyłoby Witka. Najserdeczniej żegnał Witka jakiś lekarz z Pogotowia – mówił o nim w ciepłych słowach. Ktoś z Pogotowia powiedział „Odszedł nasz ukochany Szeryf” – i to, być może, była najwspanialsza mowa pożegnalna.